

◆ JOE HILL ◆



ALBATROS

Tytuł oryginału:
FULL THROTTLE: STORIES

Copyright © Joe Hill 2019
All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2020 (wstęp, *Gaz do dechy*, *Mroczna karuzela*, *Stacja Wolverton*, *Nad srebrzystą wodą Jeziora Champlain*, *Faun*, *Tweety z cyrku umarłych*, *Jesteście wolni*, notki o opowiadaniach i podziękowania),
Danuta Górską 2020 (*Spóźnialscy*, *Jesteś dla mnie najważniejsza*, *Kciuki*, *Diabeł na schodach*, *Chryzantemy*), Krzysztof Sokółowski 2013 (*W wysokiej trawie*)

Redakcja: Marzena Wasilewska

Ilustracje na okładce, projekt graficzny okładki i projekt wyklejek: Dark Crayon

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



SPIIS TREŚCI

WSTĘP. KIM JEST TWÓJ TATA?

GAZ DO DECHY (*Throttle*) (ze Stephenem Kingiem)

MROCZNA KARUZELA (*Dark Carousel*)

STACJA WOLVERTON (*Wolverton Station*)

NAD SREBRZYSTĄ WODĄ JEZIORA CHAMPLAIN (*By the Silver Water of Lake Champlain*)

FAUN (*Faun*)

SPÓŹNIALSCY (*Late Returns*)

JESTEŚ DLA MNIE NAJWAŻNIEJSZA (*All I Care About Is You*)

KCIUKI (*Thumbprint*)

DIABEŁ NA SCHODACH (*The Devil on the Staircase*)

TWEETY Z CYRKU UMARŁYCH (*Twittering from the Circus of the Dead*)

CHRYZANTEMAMY (*Mums*)

W WYSOKIEJ TRAWIE (*In the Tall Grass*) (ze Stephenem Kingiem)

JESTEŚCIE WOLNI (*You Are Released*)

NOTKI O OPOWIADANIACH I PODZIĘKOWANIA

WSTĘP

KIM JEST TWÓJ TATA?

Przełożyła Izabela Matuszewska



Co WIECZÓR MIELIŚMY NOWEGO POTWORA.

Uwielbiałem tę książkę, *Bring on the Bad Guys*, wielki, gruby zbiór komiksowych historii, i jak możecie się domyślić z tytułu, nie opowiadała ona właściwie o bohaterach. Przeciwnie, była to antologia historii o najgorszych z najgorszych – bestialskich psychopatach o imionach takich jak Abomination i równie odstręczających twarzach.

Tata musiał mi czytać tę książkę każdego wieczoru. Nie miał wyboru. Był to pakt na miarę Szeherezady. Gdyby nie czytał, nie wyleżałbym w łóżku. Wyśliznąłbym się spod kołdry z nadrukiem *Imperium kontratakuję* i włóczył się po domu w majtkach ze Spider-manem, z obślinionym kciukiem w buzi i ukochanym wyświechtanym kocykiem przeruconym przez ramię. Kiedy coś mnie naszło, potrafiłem włóczyć się tak całą noc. Tata musiał czytać, dopóki oczy nie zamieniły mi się w szparki, a i wtedy musiał mnie zapewnić, że idzie tylko zapalić papierosa i zaraz wróci.

(Moja mama uważa, że cierpiałem na tę dziecięcą bezsenność z powodu traumy. Kiedy miałem pięć lat, dostałem w twarz łopatą do odgarniania śniegu i trafiłem do szpitala. W dobie lamp lava, włochałych dywanów i palenia papierosów w samolotach rodzicom nie wolno było zostać z dzieckiem na noc w szpitalu. Rodzinna wieść niesie, że zbudziwszy się sam w środku nocy, postanowiłem uciec. Pielęgniarki

złapały mnie wędrującego z gołym tyłkiem po korytarzu, włożyły do łóżeczka i przypięły siatkę, żebym nie mógł ponownie wyjść. Wrzeszczałem, dopóki nie ochrypłem. Jest to tak cudownie przerażająca i gotycka historia, że należy ją uznać za prawdziwą. Mam tylko nadzieję, że łóżeczko było czarne i zardzewiałe, a jedna z pielęgniarek wyszeptwała *To wszystko dla ciebie, Damien!*

Uwielbiałem podludzi z *Bring on the Bad Guys*: opętane, wrzeszczące istoty stawiające absurdalne żądania, wpadające w szal, kiedy nie dostaną tego, czego chciały, jedzące rękami i gryzące swoich wrogów. Oczywiście, że je uwielbiałem. Miałem sześć lat. Tyle rzeczy nas łączyło.

Tata czytał mi te historie, wodząc palcem od obrazka do obrazka, żeby moje zmęczone oczy mogły śledzić akcję. Gdyby ktoś mnie zapytał, jaki głos miał Kapitan Ameryka, odpowiedziałbym: głos mojego taty. Podobnie przerażające Dormammu. Podobnie Sue Richards, Niewidzialna Kobieta – ta ostatnia miała głos mojego taty udającego dziewczynę.

Wszyscy byli moim tatą. Co do jednego.

WIĘKSZOŚĆ SYNÓW NALEŻY DO jednej z dwóch kategorii.

Jeden chłopiec patrzy na swego tatę i myśli: Nienawidzę tego sukinsyna i przysięgam na Boga, że nigdy nie będę taki jak on.

Drugi chce być dokładnie taki jak jego tata – tak samo życzliwy, tak samo wolny – i czuć się tak samo dobrze we własnej skórze. Taki chłopiec nie boi się, że będzie podobny do ojca, zarówno w słowach, jak i w czynach. Boi się jedynie, że mu nie dorówna.

Myślę, że pierwszy z nich to chłopiec, który zgubił się w cieniu swojego ojca. Pozornie może się to wydawać sprzeczne z intuicją. W końcu to gość, który patrzył na swego tatę i postanowił od niego uciec jak najszybciej i jak najdalej. Jak bardzo trzeba się oddalić od swego rodzica, aby się uwolnić?

A jednak na każdym najważniejszym zakręcie życia nasz koleś odkrywa, że ojciec stoi tuż za jego plecami: na pierwszej randce, na ślubie,

na rozmowie kwalifikacyjnej. Każdy wybór musi być zważony i odniesiony do przykładu Taty, aby nasz chłopak wiedział, jak postąpić odwrotnie... W ten sposób złe relacje syna z ojcem ciągną się w nieskończoność, nawet jeśli nie rozmawiają ze sobą od lat. Chłopak nieustannie ucieka, lecz nic dzięki temu nie osiąga.

Drugi dzieciak słyszy słowa Johna Donne'a – *Cieniami ojców le-dwie jesteśmy, rzucanymi w południe* – kiwa głową i myśli: To prawda, psiakrew! Miał fart, piekielny, niesprawiedliwy, głupi fart. Może być wolny i niezależny, ponieważ taki był jego ojciec. Ojciec, który w ogóle nie rzuca cienia. Przeciwnie, staje się źródłem światła, dzięki któremu syn widzi przed sobą teren trochę wyraźniej i znajduje własną drogę.

Staram się nie zapominać, jakim jestem szczęściarzem.

W DZISIEJSZYCH CZASACH JEŚLI PODOBA nam się jakiś film, możemy go obejrzeć ponownie i uważamy to za coś normalnego. Znajdziemy go na Netflixie, kupimy na iTunes albo szarpniemy się na DVD ze wszystkimi dodatkami.

Jednak przed rokiem 1980, jeśli obejrzało się film w kinie, to prawdopodobnie nie widziało się go drugi raz, dopóki nie pojawił się w telewizji. Najczęściej odtwarzało się sceny w pamięci – w nader zdradliwym i nieuchwytnym formacie, choć niepozbawionym zalet. Spora część filmów wygląda znacznie lepiej w zatartych wspomnieniach.

Kiedy miałem dziesięć lat, tata przyniósł do domu pierwszy czytnik Laserdisc – prekursora nowoczesnych odtwarzaczy DVD. Kupił też trzy filmy: *Szczęki*, *Pojedynek na szosie* oraz *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*, nagrane na olbrzymich, mieniących się dyskach przypominających nieco śmiercionośne frisbee, którymi Jeff Bridges rzucał w *Tronie*. Każdy opalizujący krążek zawierał dwadzieścia minut nagrania wideo na obu stronach. Kiedy skończył się dwudziestominutowy fragment, tata musiał wstawać i zmieniać stronę.

Przez całe lato oglądaliśmy w kółko te trzy filmy. Po jakimś czasie dyski się pomieszały i przez dwadzieścia minut Richard Dreyfuss

wspinał się wśród kurzu na górę Devils Tower, aby dosięgnąć światła kosmitów na niebie, a przez kolejne dwadzieścia minut Robert Shaw walczył z rekinem, który w końcu przegryzał go na pół. W końcu trzy odrębne opowieści zamieniły się w jeden filmowy patchwork o na wpół oszalałych ludziach uciekających przed drapieżnikami i wyglądającymi w niebo po ratunek.

Kiedy tego lata szedłem pływać w jeziorze i zanurzywszy się w wodzie, otwierałem oczy, byłem pewien, że zobaczę wielką białą plamę rzucającą się na mnie z ciemności. Niejeden raz słyszałem pod wodą własny krzyk, a kiedy wchodziłem do swojego pokoju, podświadomie czekałem, aż moje zabawki ożyją i w nadprzyrodzony sposób zamienią się w groteskowe żywe istoty zasilane energią promieniującą z przelatującego UFO.

A za każdym razem, kiedy jechałem z tatą na przejażdżkę, bawiliśmy się w *Pojedynek na szosie*.

Wyreżyserowany przez dwudziestoletniego Stevena Spielberga *Pojedynek na szosie* opowiada o ofermowatym everymanie (granym przez Dennisa Weavera), który jadąc plymouthem, ucieka gorączkowo przez kalifornijską pustynię przed ścigającym go anonimowym i niewidocznym kierowcą ryczącej cysterny. Była to (i nadal jest) upiornie słoneczna wersja Hitchcocka, a zarazem chromowana manifestacja niezmierzonego potencjału reżyserskiego jego twórcy.

Kiedy wybieraliśmy się z tatą na przejażdżkę, lubiliśmy udawać, że ściga nas wielka ciężarówka. Od czasu do czasu tata wciskał gaz, symulując uderzenie wyimaginowanego tira w tył albo w bok. Ja rzucałem się na wszystkie strony na siedzeniu pasażera i wrzeszczałem. Rzecz jasna nieprzypięty pasem. To był 1982 albo 1983 rok i między fotelami leżał sześciopak piwa... a kiedy tata kończył jedną puszkę, pusta wylatywała przez okno razem z papierosem.

W końcu ciężarówka rozgniatała nas na miazgę, tata wydawał przeraźliwy wrzask i jechał zygzakiem na znak, że nie żyje. Czasami jechał tak całą minutę – z wywieszonym językiem i przekrzywionymi okularami, aby dowieść, że ciężarówka rozkwaśliła go na dobre. To była

zawsze gigantyczna frajda – syn i ojciec giną razem na drodze, zabici przez piekielne Osiemnastokołowe Wcielenie Zła.

TATA CZYTAŁ MI O ZIELONYM GOBLINIE, a mama o Narnii. Jej głos był (jest) kojący niczym pierwszy śnieg. Czytała o zdradzie i okrutnej rzezi z taką samą cierpliwą pewnością jak o zmartwychwstaniu i zbawieniu. Mimo że nie jest osobą religijną, słuchając jej, czułem się, jakbym wchodził do strzelistej gotyckiej katedry wypełnionej światłem i przestrzenią.

Pamiętam martwego Aslana leżącego na kamieniu i mysz skubiącą sznury, które pętały jego ciało. Myślę, że jest to źródło mojego fundamentalnego poczucia przyzwoitości. Życ przyzwoicie to tyle, co być myszą skubiącą więzy. Jedna mysz to niewiele, ale jeśli dość dużo z nas zacznie podgryzać liny, to może uda nam się wyzwolić coś, co nas ocali przed najgorszym. Może nawet ocali nas przed nami samymi.

Wierzę również nadal, że książki działają według tych samych zasad co zaczarowane szafy. Wciskamy się w małą przestrzeń i wychodzimy po drugiej stronie w ogromny tajemny świat, zarazem wspanialszy i bardziej przerażający niż nasz.

MOI RODZICE NIE TYLKO CZYTALI opowieści, lecz również je pisali, i tak się składa, że oboje byli w tym bardzo dobrzy. Tata odniósł taki sukces, że trafił na okładkę „Time’a”. I to dwukrotnie! Nazwali go boogeymanem Ameryki. Alfred Hitchcock już wtedy nie żył, więc ktoś musiał zająć jego miejsce. Mój tata nie miał nic przeciwko temu. Boogeyman Ameryki to całkiem popłatna fucha.

Swoimi pomysłami zapładniał umysły reżyserów, a pieniędzmi producentów, tak więc wiele książek doczekało się ekranizacji. Zaprzyjaźnił się z szanowanym niezależnym producentem filmowym, George’em A. Romero. To Romero był tym niepokornym, buntowniczym twórcą, który wynalazł apokalipsę zombie w swoim filmie *Noc żywych trupów*; tylko że zapomniał zastrzec sobie prawa autorskie do konty-

nuacji i w efekcie specjalnie się nie wzbogacił. Twórcy *Żywych trupów* będą mu dożgonnie wdzięczni za to, że tak świetnie reżyseruje i tak beznadziejnie chroni swoją własność intelektualną.

George Romero i mój tata uwielbiali takie same komiksy: paskudne, krwawe, publikowane w latach pięćdziesiątych, zanim banda senatorów i psychiatrów sprzysięgła się, żeby znowu uczynić dzieciństwo nudnym. *Opowieści z krypty*, *The Vault of Horror*, *The Haunt of Fear*.

Romero i mój tata postanowili nakręcić film – *Koszmarne opowieści* – który miał być komiksem grozy, tyle że na ekranie. Tata zagrał w nim nawet człowieka, który zaraża się patogenem z kosmosu i zamienia się w roślinę. Kręcili w Pittsburghu i tata chyba nie chciał się czuć samotny, więc zabrał mnie ze sobą i upchnął w filmie. Grałem dzieciaka, który zamordował ojca laleczką voodoo, ponieważ odebrał mu komiksy. W mojego filmowego ojca wcielił się Tom Atkins, który w rzeczywistości jest zbyt łagodny i życzliwy, żeby kogokolwiek zamordować.

Film obfitował w odrażające sceny: odcięte głowy, pękające ciała napęczniałe od karaluchów, ożywione trupy wyłazące z bagna. Do charakteryzacji Romero zatrudnił prawdziwego mistrza zbrodni, Toma Saviniego, tego samego czarodzieja brzydoty, który stworzył zombie w *Świecie żywych trupów*.

Savini nosił czarną skórzaną kurtkę, buty motocyklowe oraz diaboliczną bródkę i brwi wygięte do góry à la Spock. W przyczepie miał całą półkę książek ze zdjęciami z sekcji zwłok. W *Koszmarnych opowieściach* pełnił dwie funkcje: charakteryzatora i mojej niańki. Spędziłem w jego przyczepie cały tydzień: przyglądałem się, jak maluje rany i rzeźbi szpony. Stał się moim pierwszym idolem. Wszystko, co mówił, było zabawne, a także na swój niesamowity sposób prawdziwe. Walczył w Wietnamie i powiedział, że jest dumny z tego, co tam osiągnął: nie dał się zabić. Uważał, że odtwarzanie masakry w filmach jest dla niego formą terapii i to takiej, za którą płacą mu kupę forsy.

Obserwowałem, jak zamienia mojego tatę w stworzenie z bagna. Przyklejał mu mech do brwi, kosmate gałęzie do dłoni, misterne kępki trawy do języka. Przez kilka dni nie miałem ojca, tylko ogród z oczami.

W moich wspomnieniach pachnie wilgotną ziemią leżącą pod stertą jesiennych liści, lecz to prawdopodobnie tylko moja wyobraźnia.

Tom Atkins musiał udawać na planie, że mnie bije, a Savini namalował mi siniaka na lewym policzku. Kręciliśmy tego dnia późnym wieczorem i kiedy skończyliśmy, umierałem z głodu. Tata zawiózł mnie do najbliższego McDonalda. Byłem przemęczony, a zarazem nakręcony, podskakiwałem i krzychałem, że chcę czekoladowego shake'a, że „obiecał mi czekoladowego shake'a”. W którymś momencie tata zauważył, że pracownicy restauracji przyglądają się nam przerażonym i oskarżycielskim wzrokiem. Miałem na twarzy odcisk pięści: pewnie tata zabrał mnie z domu o pierwszej w nocy, żeby kupić mi shake'a jako... co? Przekupstwo, żebym nie doniósł na niego za znęcanie się nad dzieckiem? Opuściliśmy restaurację, zanim obsługa zdążyła wezwąć opiekę społeczną, i nie weszliśmy do żadnego innego McDonalda, dopóki nie wyjechaliśmy z Pittsburgha.

Zanim wróciliśmy do domu, nauczyłem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że prawdopodobnie nie czeka mnie kariera aktorska, podobnie jak mojego taty (przepraszam, tato). Po drugie, że chociaż nie mam za grosz talentu aktorskiego, to jednak znalazłem swoje powołanie i cel życia. Przez siedem dni obserwowałem, jak Tom Savini artystycznie masakruje ludzi, jak wymyśla niezapomniane zdeformowane potwory, i zapragnąłem robić to samo.

I to właśnie robię.

Tym sposobem dochodzę do istoty rzeczy, którą chciałem powiedzieć w niniejszym wprowadzeniu: dziecko ma tylko dwoje rodziców, lecz jeśli komuś z was dopisało w życiu szczęście i został artystą, który swoją sztuką może zarabiać na życie, to z czasem dorobi się więcej ojców i matek. Kiedy ktoś pyta pisarza: „Kim jest twój tata?”, jedyna uczciwa odpowiedź brzmi: „To skomplikowane”.

W LICEUM POZNAŁEM ZAPALONYCH SPORTSMENÓW, którzy czytali każdy numer „Sports Illustrated” od deski do deski, i fanów rocka, którzy pocili

się nad każdym artykułem z „Rolling Stone” niczym wierny studiujący Pismo Święte. Co do mnie, przez cztery lata czytałem „Fangorię”, magazyn dla fanów horroru poświęcony kinowym krwawym jatkom, filmom takim jak *Coś* Johna Carpentera, *Zbrodnia ze snu* Wesa Cravena i całkiem sporo produkcji ze Stephenem Kingiem w czołówce. Każdy numer „Fangorii” zawierał rozkładówkę, tak jak „Playboy”, tylko zamiast kociaka rozchylającego nogi dostawało się psychopatę rozłupującego toporem czaszkę.

„Fangoria” była moim przewodnikiem we wszystkich socjopolitycznych dyskusjach lat osiemdziesiątych, takich jak: Czy Freddy Krueger był za śmieszny? Jaki jest najbardziej odrażający film wszech czasów? I co najważniejsze: Czy powstanie kiedykolwiek lepsza, okropniejsza i bardziej powalająca na kolana przemiana w wilkołaka niż scena z *Amerykańskiego wilkołaka w Londynie*? (Dwa pierwsze pytania pozostają otwarte, odpowiedź na trzecie brzmi: nie).

W tych czasach nic już nie mogło mnie przstraszyć, ale *Amerykański wilkołak* zrobił coś równie dobrego: wzbudził we mnie poczucie przerażającej wdzięczności. Miałem wrażenie, że film położył swoją włochatą łapę na idei, która czai się pod powierzchnią każdego dobrego horroru, mianowicie, że być człowiekiem to tyle, co być turystą w prastarym, zimnym i nieprzyjaznym kraju. Jak wszyscy turyści mamy nadzieję trochę się powyglądać, pośmiać, pobaraszkować, przeżyć niewinną przygodę. Ale tak łatwo się zagubić. Dzień kończy się tak szybko, drogi są tak zwodnicze, a w ciemności czyhają różne rzeczy i szczerzą kły. Aby przetrwać, czasem sami musimy pokazać kły.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zacząłem czytać „Fangorię”, zacząłem również pisać, codziennie. Dla mnie było to coś normalnego. W końcu kiedy wracałem ze szkoły do domu, mama siedziała przy pomidorowoczerwonym IBM Selectric i wymyślała swoje historie. Tata robił to samo przy procesorze Wang, najbardziej futurystycznym urządzeniu, jakie przyniósł do domu, od czasu odtwarzacza Laserdisc. Miał czarny ekran – czarny jak najczarniejsza czerń w historii czerni, a na nim pojawiały się słowa w kolorze promieniotwórczej zieleni z filmów

science fiction. Przy kolacji rozmawiało się wyłącznie o fantazjach, o postaciach, sceneriach, zwrotach akcji i scenariuszach. Obserwowałem rodziców przy pracy, słuchałem rozmów przy stole i doszedłem do logicznej konkluzji: jeśli sam usiądziesz i przez kilka godzin dziennie będziesz wymyślał różne rzeczy, prędzej czy później ktoś zapłaci za twój wysiłek dużo pieniędzy. Co okazało się prawdą.

Jeśli wstukacie w Google'u: *Jak napisać książkę?*, otrzymacie milionowy wynik, ale w całej tej sprawie jest jeden nieuczciwy sekret: to zwykła matematyka, dodawanie na poziomie pierwszej klasy. Napisz trzy strony dziennie, a po stu dniach otrzymasz trzysta stron książki. Potem wystukaj: *Koniec* i zrobione.

Pierwszą książkę napisałem, kiedy miałem czternaście lat. Nosiła tytuł: *Midnight Eats* i opowiadała o prywatnej szkole, w której starsze panie z bufetu siekały uczniów i podawały je na lunch pozostałym dzieciakom. Mówi się, że człowiek jest tym, co je, ja jadłem „Fangorię” i stworzyłem dzieło posiadające wszystkie walory filmu klasy B.

Nie sądzę, aby komuś udało się to przeczytać do samego końca, może poza moją mamą. Jak powiedziałem, napisanie książki jest zwykłą matematyką. Napisanie dobrej książki to całkiem co innego.

CHCIAŁEM SIĘ NAUCZYĆ SWOJEGO fachu i miałem nie jednego, lecz dwoje wspaniałych pisarzy żyjących pod tym samym dachem, nie wspominając o powieściopisarzach wszelkiej maści, przechodzących przez drzwi naszego domu średnio co drugi dzień. West Broadway 47 w Bangor w stanie Maine musiało być najlepszą nieznaną szkołą pisarską, lecz jeśli o mnie chodzi, to trwoniono tam czas – z dwóch powodów: kiepski ze mnie słuchacz i jeszcze gorszy uczeń. Alicja w Krainie Czarów zauważa, że często daje sobie dobre rady, ale bardzo rzadko je przyjmuje. Rozumiem ją. Jako dziecko słyszałem ich całe mnóstwo, lecz nigdy żadnej nie przyjąłem.

Niektórzy uczą się wzrokowo. Inni zbierają użyteczne informacje na wykładach lub klasowych dyskusjach. Jeśli chodzi o mnie, to

wszystkiego nauczyłem się z książek. Mój mózg pracuje zbyt wolno, aby czerpać korzyści z rozmów, lecz słowa na papierze zawsze na mnie zaczekają. Książki są niezwykle cierpliwe dla powolnych uczniów. W przeciwieństwie do reszty świata.

Moi rodzice wiedzieli, że uwielbiam pisać, i chcieli, abym odniósł sukces. Zdawali sobie również sprawę, że niekiedy tłumaczenie mi różnych rzeczy przypomina gadanie do psa. Nasz corgi, Marlowe, rozumiał kilka ważnych słów, takich jak „spacer” czy „jedzenie”, ale to wszystko. Ze mną było niewiele lepiej. Tak więc rodzice kupili mi dwie książki.

Od mamy dostałem *Zen in the Art of Writing* Raya Bradbury’ego i choć książka ta jest pełna wspaniałych rad, jak wyzwolić w sobie zdolności twórcze, to mnie najbardziej przyciągnął jej język. Zdania Bradbury’ego wybuchają jak petardy w gorący lipcowy wieczór. Było to dla mnie odkrycie na miarę sceny z *Czarodzieja z Krainy Oz*, kiedy Dorota wychodzi z domu prosto do krainy po drugiej stronie tęczy. Wyłoniłem się z czarno-białego pokoju w świat technicoloru. Środek przekazu stał się przesłaniem.

Dzisiaj przyznaję, że zdania Bradbury’ego wydają mi się trochę przeładowane (nie każdy wers musi być klaunem jeżdżącym na monocyklu i żonglującym pochodniami), lecz kiedy miałem czternaście lat, ktoś musiał mi pokazać wybuchową moc dobrze utkanej, sugestywnej frazy. Przez jakiś czas po przeczytaniu *Zen in the Art of Writing* nie sięgałem po nic innego poza Bradburym – *Sloneczne wino, 451 stopni Fahrenheita* i najlepsza ze wszystkich, *Jakiś potwór tu nadchodzi*. Jak ja uwielbiałem mroczny karnawał, kolejki zniekształcające rzeczywistość, zwłaszcza tę okropną karuzelę na środku, która zamienia dzieci w starców! I jego opowiadania – wszyscy znają opowiadania Bradbury’ego – arcydzieła niesamowitej prozy, które można przeczytać w dziesięć minut i nigdy ich nie zapomnieć. *Grzmot*, opowieść o myśliwych, którzy zapłacą wysoką cenę za szansę polowania na dinozaury. Albo *Syrena*, historia prehistorycznego stworzenia, które zakochuje się w latarni morskiej. Jego utwory były pomysłowe, olśniewające i pisane z taką swobodą, że wracałem do *Zen in the Art of Writing* wielokrotnie, aby zrozumieć, jak on to robił. I rzeczy-

wiecie, miał kilka nader solidnych, praktycznych narzędzi do zaproponowania początkującemu pisarzowi. Jedno z nich polegało na sporządzaniu listy rzeczowników w celu wyłowienia pomysłów na fabułę. Do dziś wykorzystuję wariant tego ćwiczenia (zrobiłem z niego własną grę, którą nazwałem „Prezentacja w windzie”).

Od taty dostałem książkę Lawrence’a Blocka pod tytułem *Telling Lies for Fun and Profit*, zawierającą artykuły z poradami dla twórców, które pisał dla „Writer’s Digest”. Do dziś ją mam. Wpadła mi do wanny, więc jest spuchnięta i zdeformowana, a w miejscach, które podkreślałem, rozmazał się atrament, lecz dla mnie ma taką samą wartość jak pierwsze wydanie z autografem Faulknera. Od Blocka przejąłem ideę, że pisarstwo jest rzemiosłem jak każde inne, jak stolarstwo. Aby zdemistyfikować tę sztukę, Block skupił się na szczegółach, na przykład: Jakie jest najlepsze pierwsze zdanie? Ile szczegółów oznacza za dużo szczegółów? Dlaczego niektóre szokujące zakończenia działają, a inne są do bani?

A także – to mi się szczególnie podoba – jakie korzyści daje pisanie pod pseudonimem?

Blockowi nieobce były pseudonimy. Miał ich na pęczki, używał ich do tworzenia konkretnych tożsamości dla konkretnych utworów. Bernard Malamud zauważył kiedyś, że pierwszym i największym wyzwaniem twórczym pisarza jest on sam; kiedy wymyśli siebie, dzieła zaczną płynąć z tej autokreacji naturalnym strumieniem. Bardzo mi się podobała myśl, że Block, ilekroć miał taką zachciankę, nakładał sobie nową twarz i pisał powieści człowieka, który sam był zmyśloną postacią.

„Oczywiście – powiedział mój tata. – Weź na przykład *Such Men Are Dangerous*, którą Block napisał jako Paul Kavanagh. Ta książka mniej przypomina powieść, a bardziej napad w ciemnym zaułku”.

Such Men Are Dangerous to opowieść o byłym żołnierzu, który robił okropne rzeczy na wojnie, po czym wraca do domu z zamiarem robienia takich samych rzeczy w kraju. Chociaż czytałem tę książkę ponad dwadzieścia lat temu, myślę, że z grubsza rzecz biorąc, tata miał rację. Zdania Bradbury’ego strzelały jak petardy w letnią noc, Kavanagha buchały jak

wyziewy z ołowianych rur. Larry Block wydawał się naprawdę miłym facetem. Paul Kavanagh przeciwnie.

Mniej więcej w tym samym czasie zacząłem się zastanawiać, kim bym był, gdybym przestał być sobą.

W LICEUM NAPISAŁEM TRZY KOLEJNE powieści. Wszystkie łączyła jedna artystyczna właściwość: były do niczego. Mimo to już wtedy rozumiałem, że to normalne. Cudowne dzieci są prawie zawsze tragicznymi postaciami, które świecą jasnym płomieniem przez kilka lat i zanim osiągną dwudziestkę, zostaje po nich kupka popiołu. Wszyscy inni muszą dochodzić do celu pomału, mozolnie, łopata po łopacie. Ciężka, powolna praca wynagradza człowieka emocjonalnymi i intelektualnymi mięśniami oraz solidnymi podwalinami, na których może zbudować karierę. Kiedy więc przychodzą porażki, jest na nie przygotowany, ponieważ już im kiedyś stawiał czoło.

Z naturalnych powodów w college'u zacząłem myśleć o wydaniu niektórych swoich utworów drukiem. Bałem się jednak publikować pod własnym nazwiskiem. Wiedziałem, że nie napisałem jeszcze niczego, co warto by przeczytać. Lecz skąd będę wiedział, czy napisałem coś dobrego, naprawdę dobrego? Martwiłem się, że wyślę wydawnictwu marnotę, a oni ją wydadzą, licząc na szybką kasę zarobioną na nazwisku. Byłem bardzo niepewny siebie, męczyły mnie dziwne (i irracjonalne) obawy. Chciałem mieć pewność, że kiedy sprzedam książkę, to sprzedam ją z właściwych powodów.

Dlatego porzuciłem nazwisko i zacząłem pisać jako Joe Hill. Dlaczego Hill? To skrót od mojego drugiego imienia, Hillström, i kiedy myślałem o tym z perspektywy czasu... rany, gdzie ja miałem głowę? Umlaut jest w języku angielskim prawdziwym hard rockiem wśród znaków diakrytycznych, a ja mam go w imieniu i tego nie wykorzystałem. Schrząniłem swoją największą szansę, żeby zostać metalowcem.

Uznałem również, że powinienem unikać pisania przerażających historii, znaleźć swoje własne tworzywo. No i pisałem chłam w sty-

lu „New Yorkera” – o rozwodach, o wychowywaniu trudnych dzieci, o niepokojach wieku średniego. Tu i ówdzie trafiały się w tych tekstach niezłe zdania i niewiele więcej. Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia na temat rozwodów – nawet nie byłem żonaty! Podobnie o wychowywaniu trudnych dzieci. Moje doświadczenia w tej dziedzinie sprowadzały się do tego, że byłem jednym z nich. A w wieku dwudziestu paru lat rozpaczliwie brakowało mi kwalifikacji do wypowiadania się na temat kryzysu wieku średniego.

Poza tymi wszystkimi powodami prawdziwą trudnością w napisaniu dobrego tekstu dla „New Yorkera” był fakt, że nigdy nie lubiłem takich książek. W wolnym czasie czytałem pojebane komiksy grozy Neila Gaimana i Alana Moore’a, a nie Updike’a czy Cheevera o melancholii klasy średniej.

W którymś momencie, prawdopodobnie po dwusetnym odrzuceniu, przeżyłem małe olśnienie. Owszem, jeśli pisałbym książki pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem, Joseph King, to wypadłoby niezręcznie, gdybym pisał horrory. Jakbym odcinał kupony od sukcesu taty. Ale Joe Hill był zwyczajnym, anonimowym facetem. Nikt nie znał jego matki ani ojca. Mógł być każdym artystą, jakim zechciał. A chciał być Tomem Savinim na papierze.

Dostajesz takie życie, jakie ci dano, i jeśli zamierzasz pisać, to ono jest twoim atramentem. Jedynym, na jaki możesz liczyć. Mój był po prostu bardzo czerwony.

Kiedy w końcu dałem sobie zgodę na pisanie niesamowitych opowieści o rzeczach nadprzyrodzonych, wszystkie moje problemy znikły prawie w mgnieniu oka i zanim zdążyłem powiedzieć „bestseller »New York Timesa«”, byłem... ha, ha, ha, ha, ha, żartuję. Nadal czekało mnie tworzenie całych stert chłamu. Skleciłem cztery kolejne powieści, które niczego nie osiągnęły. Był wśród nich *Paper Angels*, trzeciorzędny pastisz Cormaca McCarthy’ego; powieść fantasy dla młodzieży, *Złe kociaki doktora Lourdesa* (sami się pieprzcie, właśnie, że to świetny tytuł); *The Briars*, schrzaniiony pomysł na thriller w stylu Johna D. MacDonalda, o dwóch nastolatkach na krwawej imprezie. Najlepsze było *The Fear*

Tree, napisane w duchu J.R.R. Tolkiena. Spędziłem nad nim trzy lata i stało się międzynarodowym bestsellerem... w moich snach. W rzeczywistości odrzuciły go wszystkie wydawnictwa z Nowego Jorku i Londynu, a za dodatkowy kopniak w jaja posłużyły odmowy wydawców w Kanadzie, co niechaj nam wszystkim przypomina: nieważne, jak nisko upadłeś, zawsze możesz upaść niżej (wcale tak nie myślę, Kanado).

Podczas gdy płodziłem kolejne powieściowe fiaska, pisałem również opowiadania i w czasie tych miesięcy (i – retyle! – lat) zaczęły się w moim życiu dziać również dobre rzeczy. Opowieść o przyjaźni między młodocianym przestępcą i nadmuchiwany chłopcem włączono do szacownej antologii żydowskiego realizmu magicznego, chociaż jestem gojem (wydawcy to nie przeszkadzało). Opowiadanie o duchu nawiedzającym kino w pewnym miasteczku trafiło do „High Plains Literary Review”. Dla większości ludzi niewiele to znaczy, ale ja miałem uczucie, jakbym stworzył tabliczkę czekolady i odkrył w środku złoty kupon. Za nimi poszły następne niezłe opowiadania. Jedno o samotnym kilkunastoletnim chłopcu, który niczym bohater Kafki zamienia się w wielkiego owada, po czym odkrywa, że woli być człowiekiem. Inne o starym odłączonym aparacie telefonicznym, na który czasami dzwonią zmarli. Jeszcze inne o niezrównoważonych synach Abrahama Van Helsinga. I tak dalej. Zdobyłem kilka mniej znaczących nagród literackich i trafiłem do zbioru najlepszych utworów gatunku. Jedno z moich dziełek przeczytał łowca talentów z Marvel Comics i dał mi szansę napisania własnej jedenastostronicowej opowieści o Spider-Manie.

Nie było to wiele, ale podobno co za dużo, to niezdrowo. Gdzieś w 2004 roku, wkrótce po tym, jak *The Fear Tree* trafiło ostatecznie w ślepy zaułek, pogodziłem się z myślą, że nie mam w sobie żyłki powieściopisarza. Dałem z siebie wszystko, ale odpadłem. Nie szkodzi. W końcu pisałem dla Spider-Mana. Nawet jeśli nie nauczyłem się pisać powieści, to przynajmniej wiedziałem, że umiem tworzyć całkiem zadowalające opowiadania. Zdawałem sobie sprawę, że nigdy nie dorównam tacie, ale przynajmniej się zbliżałem. To, że nie nadawałem się na powieściopisarza, nie znaczyło, że nie mogę znaleźć

zajęcia w świecie komiksu. Niektóre z moich ulubionych historii były właśnie komiksami.

Miałem kilkanaście napisanych opowiadań, wystarczająco dużo, aby wydać zbiór. Postanowiłem je poskładać i przekonać się, czy ktoś się na nie skusi. Nie zdziwiło mnie, że pominęły je milczeniem wielkie domy wydawnicze, które ze zdrowych komercyjnych powodów wolą publikować powieści. Zwróciłem się do świata mniejszych wydawców i w grudniu 2004 roku zadzwonił do mnie Peter Crowther, szacowny dżentelmen stojący za maleńką oficyną ze wschodniej Anglii, PS Publishing. Peter sam pisał niesamowite opowieści i spodobało mu się moje opowiadanie *Pop Art*, to o nadmuchiwanym chłopcu. Zaproponował mi niewielki nakład *Upiorów XX wieku*, czym od niechcenia wyświadczył mi przysługę, której nigdy nie spłacę. Pete i kilku innych gości ze świata małych oficyn, jak Richard Chizmar i Bill Schafer, wyświadczają takie przysługi wielu pisarzom, wydając ich książki nie dlatego, że mogą się na nich wzbogacić, lecz ponieważ się im podobają. (Owszem... to sugestia, abyś odwiedził witryny PS Publishing, Cemetery Dance Publications oraz Subterranean Press i wniósł swój wkład we wsparcie dla obiecujących twórców, kupując ich książkę. Śmiało, dobrze to zrobi twojej biblioteczce).

Peter poprosił, żebym napisał jeszcze kilka opowiadań do planowanego zbioru, aby stały się pozycjami „na wyłączność”, nigdzie indziej niepublikowanymi. Zgodziłem się i rozpocząłem pracę nad opowieścią o kolesiu, który kupił ducha w internecie. Praca jakoś wymknęła mi się spod kontroli i po trzystu trzydziestu pięciu stronach stwierdziłem, że jednak mam w sobie dar powieściopisarza. Zatytułowałem ją *Pudelko w kształcie serca*.

Kurczę, czyta się jak powieść Stephena Kinga. Mówiąc uczciwie, zasłużyłem na to.

ZAWSZE DOŚĆ PÓŹNO UJAWNIAŁEM swoje zdolności, tak więc moja pierwsza książka, *Upiory XX wieku*, ukazała się, gdy miałem trzydzieści trzy lata. Teraz mam czterdzieści sześć, a kiedy ten zbiór trafi na półki księgar-

skie, skończę czterdzieści siedem. Uf, dni pędzą na pełnym gazie, aż człowiekowi zapiera dech.

Kiedy zaczynałem pisać, nie chciałem, aby ludzie się dowiedzieli, że jestem synem Stephen Kinga, więc nałożyłem maskę i udawałem kogoś innego. Lecz książki zawsze mówią prawdę, prawdziwą prawdę. W każdym razie dobre książki. Książki, które napisałem, są nieuniknionym produktem ich twórczego DNA: Bradbury’ego i Blocka, Saviniego i Spielberga, Romera i „Fangorii”, Stana Lee i C.S. Lewisa, a przede wszystkim Tabithy i Stephen Kingów.

Nieszczęśliwy twórca stoi w cieniu innych, większych artystów i chowa za to urazę. Ale jeśli dopisze ci szczęście – a jak powiedziałem, miałem szczęścia pod dostatkiem i proszę, Panie Boże, niech tak pozostanie – ci inni, więksi artyści rzucą ci światło, abyś odnalazł swoją drogę.

I kto wie? Może pewnego dnia los się do ciebie uśmiechnie na tyle, że będziesz mógł pracować u boku jednego ze swoich idoli. Miałem okazję napisać parę opowiadań razem z ojcem. Było zabawnie. Mam nadzieję, że wam się spodobają; dwa z nich znajdziecie je w tej książce.

Nosiłem maskę przez kilka lat, lecz teraz, kiedy opadła, mogę głębiej odetchnąć.

Na razie to wszystko, co mam do powiedzenia. Czeka nas niezła jazda. W drogę.

Pora na czarne charaktery.

Joe Hill
Exeter, New Hampshire
Wrzesień 2018

GAZ DO DECHY

(ZE STEPHENEM KINGIEM)

Przełożyła Izabela Matuszewska



JECHALI NA ZACHÓD PRZESZŁOŚCIĄ pustynię i nie zatrzymali się, póki nie oddalili się sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca rzezi. Dopiero wczesnym popołudniem zjechali z szosy do baru z otynkowaną fasadą i dystrybutorami na betonowych wyspach. Przetaczający się grzmot silników wstrząsnął szybami w oknach. Zaparkowali obok siebie między wielkimi ciężarówkami po zachodniej stronie budynku, ustawili motocykle na nóżkach i zgasili silniki.

Przez całą drogę prowadził Race Adamson, jego harley wyprzedzał pozostałych niekiedy nawet o pół kilometra. Zawsze jeździł na przedzie, od kiedy do nich wrócił po dwóch latach na pustyni. Tak bardzo się wysorowywał, że czasem się wydawało, jakby rzucał im wyzwanie, aby próbowali go dogonić. Ale może po prostu miał ochotę zostawić ich za sobą. Nie chciał się tu zatrzymywać, jednak Vince go zmusił. Gdy tylko bar pojawił się w polu widzenia, dodał gazu, wyprzedził Race'a i wyciągnął lewą rękę w geście doskonale znanym Szczepowi: „Za mną, zjeżdżamy z drogi”. Szczep posłuchał gestu Vince'a. Jak zawsze. To była prawdopodobnie kolejna z wielu rzeczy, których Race u niego nie znosił.

Race zawsze parkował pierwszy, ale zsiadał ostatni. Stał okra-kiem z motocyklem między nogami i powoli ściągał skórzane rękaw-

wice, spoglądając spode łba na towarzyszy przez przeciwsłoneczne lustrzanki.

– Powinieneś pogadać ze swoim chłopakiem – powiedział do Vince’a Lemmy Chapman, wskazując głową Race’a.

– Nie tutaj – odparł Vince.

Rozmowa może poczekać, aż wróć do Vegas. Chciał mieć drogę za sobą. Chciał się położyć w ciemności i poczekać, aż zelżeje okropne ściskanie w żołądku. A może jednak najbardziej tęsknił za prysznicem. Nie miał na sobie krwi, mimo to czuł się skażony i wiedział, że nie poczuje się dobrze we własnej skórze, dopóki nie zmyje z siebie porannego smrodu.

Ruszył w kierunku baru, lecz Lemmy złapał go za ramię.

– Nie. Właśnie że tutaj.

Vince spojrzał na dłoń spoczywającą na jego ramieniu, lecz Lemmy jej nie cofnął. On jeden z całej grupy się go nie bał. Przeniósł wzrok na dzieciaka, który od wielu lat nie był już dzieciakiem. Race otworzył kufer nad tylnym kołem i szukał czegoś w środku.

– O czym tu gadać? – rzucił Vince. – Clark zginął. Pieniądze też. Sprawa skończona.

– Musisz się dowiedzieć, czy Race myśli tak samo. Cały czas zakładasz, że nadajecie na tej samej fali, chociaż od dłuższego czasu chłopak chodzi na ciebie wkurwiony przez czterdzieści minut na godzinę. I coś ci jeszcze powiem, szefie. To on ściągnął tu część tych ludzi i to on ich nakręcił gadką, że zarobią kupę forsy na jego interesach z Clarkiem. Nie on jeden może chcieć usłyszeć, co dalej.

To mówiąc, Lemmy spojrzał znacząco w stronę członków Szczepu. Dopiero teraz Vince zauważył, że nie ruszyli całą bandą w stronę baru, tylko kręcili się przy maszynach i co raz zerkali w kierunku jego i Race’a, jakby na coś czekali.

Vince nie chciał rozmawiać. Na samą myśl o gadaniu robiło mu się słabo. Już od jakiegoś czasu rozmowa z Race’em przypominała przerzucanie się piłką lekarską i nie przynosiła nic poza nużącym wysiłkiem, a on nie miał na to ochoty, zwłaszcza po tym, co zostawili za sobą.

Mimo to poszedł, ponieważ kiedy chodziło o ochronę Szczepu, Lemmy prawie zawsze miał rację. Jeździł sześć lat, a Vince dwanaście, zanim się poznali w Delcie Mekongu, a świat stanął na głowie. Wysłano ich na zwiad, mieli szukać zakopanych min i drutów połączonych z pułapką. Od tamtej pory przez czterdzieści lat niewiele się zmieniło.

Vince zostawił maszynę i podszedł do Race'a, który stał między swoim harleyem i zaparkowaną cysterną. Znalazł to, czego szukał w kufrze – butelkę z płynem, który wyglądał na herbatę, ale nią nie był. Pił od dawna, czego Vince nie lubił. Race pociągnął łyk, wytarł usta i podsunął butelkę Vince'owi, lecz ten pokręcił głową.

– Mów – powiedział.

– Jeśli pojedziemy szóstką, za trzy godziny możemy być w Show Low. O ile ta twoja azjatycka cipa tyle wyciągnie.

– Co jest w Show Low?

– Siostra Clarke'a.

– Po co mamy do niej jechać?

– Z powodu pieniędzy. Może nie zauważyłeś, ale wyjebano nas na sześćdziesiąt kawałków.

– I ty uważasz, że ona je ma.

– Gdzieś trzeba zacząć.

– Pogadamy o tym w Vegas. Na miejscu przemyślimy, jakie mamy opcje.

– Może przemyślimy je tutaj. Widziałeś, jak Clarke odkładał telefon, kiedy weszliśmy? Słyszałem przez drzwi fragmenty rozmowy. Myślę, że próbował złapać siostrę, a ponieważ mu się nie udało, zostawił komuś wiadomość. Jak myślisz, dlaczego nagle tak zapragnął skontaktować się z tą raszpłą, jak tylko zobaczył nas na podjeździe?

Chciał się pożegnać, tak uważał Vince, ale tego nie powiedział.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego, prawda? Co ona robi? Też metę?

– Nie, jest dziwką.

– Jezu, co za rodzina!

- I kto to mówi – mruknął Race.
- Co to miało znaczyć? – spytał Vince.

Właściwie nie przejął go sam tekst, zamierzony, rzecz jasna, jako obelga, tylko lustrzane okulary Race’a, w których zobaczył własne odbicie, starą, spaloną przez słońce twarz z siwą brodą, zmarszczkami i obwisłymi fałdami.

Race spojrzął z powrotem na migoczącą drogę, a kiedy się odezwał, to nie po to, aby odpowiedzieć na pytanie.

– Sześćdziesiąt patoli poszło z dymem, a ty zbywasz to wzruszeniem ramion.

– Niczego nie zbywam, tak się po prostu stało. Poszło z dymem.

Race i Dean Clarke poznali się w Faludży. A może to było w Tikrit. Dean był sanitariuszem ze specjalizacją w metodach leczenia bólu: solidnie się naćpać i zaprawić hojną dawką Wyclefa Jeana; z kolei Race specjalizował się w prowadzeniu wozu opancerzonego tak, żeby nie dać się postrzelić. Po powrocie do świata nadal utrzymywali kontakty i pół roku temu Clarke przyjechał do Race’a z pomysłem założenia laboratorium metamfetaminy w Smith Lake. Wyliczył, że na rozruch wystarczy sześćdziesiąt tysięcy, a zanim się obejrzą, będą zarabiali więcej na miesiąc.

– Prawdziwy kryształ – powtarzał. – Żadnych tanich zielonych gówien, tylko czysty kryształ. – Po czym podnosił dłonie nad głowę, imitując wielką stertę pieniędzy. – Luz, stary, sięgniemy gwiazd.

Luz. Vince pomyślał teraz, że powinien był się wycofać, gdy tylko usłyszał to słowo. Dokładnie w tej samej sekundzie.

Ale tego nie zrobił. Gorzej, dał Race’owi z własnej kieszeni dwadzieścia kawałków, mimo wszystkich swoich wątpliwości. Clarke wyglądał na mięczaka i obiboka i przypominał trochę Kurta Cobaina: długie jasne włosy, kilka warstw ubrań. Powtarzał „spoko” i „luz”, do każdego mówił „ziom” i opowiadał, jak narkotyki przełamują tyranię zbiorowej nadświadomości. Cokolwiek to miało znaczyć. Zaskoczył i oczarował Race’a swoimi intelektualnymi przymiotami: sztuki Sartre’a, kasety z recytowaną poezją i składankami reggae.

Vince'owi nie przeszkadzała ta jajogłowa gadka Clarke'a, nafaszerowana duchowo-rewolucjonistycznymi bzdetami i wygłaszana idiotycznym językowym zlepkim białego paniczyka z czarnym ziomalem. Przeszkadzało mu natomiast, że kiedy się poznali, u Clarke'a widać już było charakterystyczne usta metamfetaminowca – wypadające zęby, dziąsła usiane plamami, cuchnący oddech. Vince nie miał nic przeciwko zarabianiu pieniędzy na tym gównie, ale odruchowo nie ufał zepsutym zgniłkom, którzy to gówno żywnali.

Mimo to wyłożył kasę, chciał, żeby Race'owi coś się w końcu udało, zwłaszcza po tym, jak go wyrzucili z wojska. I przez chwilę, kiedy Race i Clark pracowali nad szczegółami, Vince prawie sam siebie przekonał, że interes może naprawdę wypalić. Na jakiś czas Race nabrał niemal zawadiackiej pewności siebie i spodziewając się wielkich zysków, kupił nawet swojej dziewczynie używanego mustanga.

Tylko że pierwszego dnia po uruchomieniu w laboratorium wybuchł pożar i w ciągu dziesięciu minut wszystko spłonęło do fundamentów. Luz? Nielegalni meksykańscy robotnicy powyskakiwali przez okna i kiedy nadjechała straż pożarna, stali dookoła, poparzeni i wysmarowani sadzą. Większość siedziała teraz w okręgowym areszcie.

Race dowiedział się o pożarze nie od Clarke'a, tylko od Bobby'ego Stone'a, innego kumpla z Iraku. Bobby pojechał do Smith Lake, żeby kupić legendarnego czystego kryształu za dziesięć tysięcy dolarów i zawrócił z piskiem opon na widok dymu i migających kogutów. Race próbował się dodzwonić do Clarke'a, ale telefon milczał przez całe popołudnie i wieczór. O dziesiątej Szczep wyruszył w drogę na wschód, żeby go znaleźć.

Dorwali Deana Clarke'a w jego chacie na wzgórzach, kiedy pakował się do wyjazdu. Oznajmił, że właśnie wybierał się na spotkanie z Race'em, żeby mu powiedzieć, co się stało, i ułożyć nowy plan działania. Zapewniał, że miał zamiar wszystkich spłacić. Dodał, że pieniądze wprawdzie przepadły, ale są inne możliwości, inne pla-

ny awaryjne. Zarzekał się, że jest mu cholernie, kurewsko przykro. Część tego, co mówił, było kłamstwem, część prawdą, zwłaszcza to, że jest mu cholernie, kurewsko przykro, ale Vince'a niczym nie zaskoczył, nawet kiedy zaczął płakać.

Zaskoczyło go natomiast, podobnie jak wszystkich, że w łazience ukrywała się dziewczyna Clarke'a w majteczkach w stokrotki i bluzie z napisem LICEUM CORMANA. Najzwyczajniejsza w świecie siedemnastolatka na haju, ściskająca w dłoni dwudziestkę-dwójkę. Podśluchiwała, kiedy Roy Klowes pytał Clarke'a, czy jego dziewczyna jest w domu, i proponował, żeby dziwka im wszystkim obciągnęła, to spuszcza mu dwieście dolców z długu. Roy Klowes wszedł do łazienki i wyciągnął kutasa, żeby się odlać, lecz dziewczyna myślała, że rozpina spodnie w innym celu, i nacisnęła spust.

Za pierwszym razem spudłowała, za drugim strzeliła w sufit, bo Roy zaczął w nią walić maczetą i cała sytuacja odkleiła się od rzeczywistości i przez czerwoną norę ześliznęła się w krainę sennych koszmarów.

– Jestem pewien, że stracił część tej forsy – powiedział Race. – Może nawet połowę tego, co od nas dostał. Ale jeśli uważasz, że Dean Clarke wsadził całe sześćdziesiąt patyków w jeden interes, to nie mogę ci pomóc.

– Może faktycznie część forsy zamelinował. Nie twierdzę, że nie masz racji. Tylko nie rozumiem, czemu miałyby się znaleźć u jego siostry. Równie dobrze mógł ją wsadzić do słoika i zakopać w ogródku. Nie mam zamiaru pastwić się nad jakąś żalosną dziewczyną dla zabawy. Co innego, jeśli się dowiemy, że dostała nagle jakieś duże pieniądze.

– Sześć miesięcy nakręcałem ten interes. I nie ja jeden wpakowałem w niego pieniądze.

– Dobrze. Pogadamy w Vegas, jak tę sprawę załatwić.

– Gadaniem niczego nie załatwimy – uciął Race. – Tylko na maszynach. Jego siostra jest dzisiaj w Show Low. Kiedy się dowie, że brat i jego laleczka zostali rozsmarowani po ścianach domu...

– Może byś mówił trochę ciszej – upomniał go Vince.

Lemmy stał kilka kroków dalej i obserwował ich z ramionami skrzyżowanymi na piersi, gotów w każdej chwili wkroczyć pomiędzy nich, gdyby zaszła potrzeba. Pozostali czekali w grupkach po dwóch lub trzech, pokryci kurzem i posępni, w skórzanych albo dżinsowych kurtkach, na których widniała naszywka Szczepu z czaszką w indiańskiej opasce i dewizą: ŻYJ W DRODZE, UMIERAJ W DRODZE. Zawsze tworzyli Szczep, chociaż żaden z nich nie był Indianinem, poza Peachesem, który twierdził, że jest półkrwi Czirokezem, chyba że akurat wolał być półkrwi Hiszpanem albo Inką. Doc powiedział, że może sobie być półkrwi Eskimosem i półkrwi wikingiem – i tak robi z siebie idiotę.

– Ta forsą przepadła – zwrócił się Vince do syna. – Tak samo twoje sześć miesięcy pracy. Zrozum to wreszcie.

Jego syn stał z zaciśniętymi zębami, kłykcie aż mu pobielały na trzymanej kurczowo butelce. Nie odzywał się ani słowem. Patrząc na niego, Vince przypomniał go sobie nagle jako sześciolatniego chłopca z buzią tak samo jak teraz pokrytą kurzem, jeżdżącego po żwirowym podejździe na trzykołowym rowerku i wydającego odgłosy warczącego silnika. Vince i Mary śmiali się do rozpuku, najbardziej z zawziętej i skupionej miny syna, przedszkolnego wojownika szos. Teraz nie widział w tym nic zabawnego. Dwie godziny temu Race rozplątał łopatą ludzką czaszkę. Zawsze był szybki i pierwszy dopadł Clarke’a, kiedy ten próbował uciec w zamieszaniu powstałym po wystrzałach dziewczyny. Może Race nie zamierzał go zabić. Uderzył tylko raz.

Vince otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nie pozostało nic do powiedzenia. Odwrócił się i ruszył w kierunku baru. Nie uszedł nawet trzech kroków, kiedy usłyszał za plecami brzęk tłuczonego szkła. Odwrócił się i zobaczył, że Race cisnął butelką w zbiornik paliwa, dokładnie w miejsce, gdzie pięć sekund temu stał Vince. Może celował w jego cień.

Whiskey i okruchy szkła rozprysły się po baku. Vince rzucił okiem na bok zaparkowanej cysterny i aż drgnął mimowolnie na widok tego, co na nim zobaczył. Na wielkim zbiorniku wid-

niał napis i przez mgnienie oka wydało mu się, że przeczytał słowo MASAKRA. Ale nie. To było MASKAR. Wszystko, co wiedział o Freudzie, można było ująć w niespełna dwadzieścia słów – drobny z małą siwą bródką i cygarem, uważał, że dzieci chcą się pieprzyć z własnymi rodzicami – ale nie musiał się znać na psychologii, żeby rozpoznać działanie podświadomych wyrzutów sumienia. Wybuchłby śmiechem, gdyby nie to, co zobaczył potem.

W kabinie siedział kierowca. Wywiesił rękę przez okno, w palcach trzymał tłącego się papierosa, a na przedramieniu widniał tatuaż: LEPSZA ŚMIERĆ OD HAŃBY, co świadczyło, że facet jest weteranem. Vince zarejestrował to na wpół świadomie i szybko odsunął tę myśl na bok, może żeby przemyśleć to sobie później, a może nie. Zastanawiał się, ile facet mógł usłyszeć, oceniał niebezpieczeństwo, próbował zdecydować, czy powinno się Maskara wyciągnąć z kabiny i wyjaśnić kilka rzeczy.

Cały czas się nad tym zastanawiał, kiedy ciężarówka z cysterną zabulgotała i zbudziła się w kłębach smrodu. Maskar wyrzucił niedopałek na parking i zwolnił hamulce pneumatyczne. Kominy beknęły czarnym dymem i ciężarówka ruszyła. Żwir zachrząścił pod wielkimi oponami. Podczas gdy cysterna odjeżdżała, Vince powoli odetchnął i poczuł, jak opada z niego napięcie. Wątpliwe, żeby facet coś usłyszał, a nawet jeśli tak, to co z tego? Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się mieszał w takie szambo. Maskar musiał się zorientować, że przyłapano go na podsłuchiwanie, i postanowił się zmyć, póki jeszcze miał szansę.

Zanim osiemnastokółowiec wyjechał na jednopasmową szosę, Vince odwrócił się w drugą stronę i przepchnął między swoimi ludźmi w stronę baru. To było godzinę przed tym, jak zobaczył cysternę po raz drugi.

VINCE POSZEDŁ SIĘ ODLAĆ – pęcherz dawał mu w kość od pięćdziesięciu kilometrów – i po powrocie minął swoich ludzi skupionych

przy dwóch dużych stolikach. Siedzieli w milczeniu, od stolików nie dolatywał prawie żaden odgłos poza szorowaniem widelców po talerzach oraz brzękiem odstawianych szklanek. Tylko Peaches gadał, i to do siebie. Mówił szeptem i od czasu do czasu sprawiał wrażenie, jakby się kulił, jakby go otoczyła chmara wyimaginowanych muszek. Był to jego żalosny, irytujący zwyczaj. Pozostali zajmowali własne wewnętrzne przestrzenie, nikt na nikogo nawet nie zerkał; każdy zwrócony do środka, Bóg wie, na co patrzył. Niektórzy prawdopodobnie na łazienkę, w której Roy Klowes zaszlachtował dziewczynę. Inni widzieli Clarke'a leżącego twarzą do ziemi, z tyłkiem do góry, z zafajdanymi spodniami, stalowym ostrzem łopaty tkwiącym w czaszce i sterczącym trzonkiem. Kilku pewnie się zastanawiało, czy zdążą wrócić do domu na *Amerykańskich gladiatorów* i czy kupony na loterię, które wczoraj kupili, okażą się szczęśliwe.

Zupełnie inaczej było, kiedy jechali na spotkanie z Clarkiem. Lepiej. Zatrzymali się tuż po wschodzie słońca w podobnej knajpie jak ta i chociaż nie tryskali humorami, to pieprzyli trzy po trzy i od czasu do czasu wybuchali śmiechem przy pączkach i kawie. Przy jednym stole Doc rozwiązywał krzyżówkę, a pozostali zaglądali mu przez ramię i stukali się w żebra łokciami, dowcipkując, jaki to zaszczyt obcować z takim wykształconym człowiekiem. Doc odsiedział swoje, jak większość pozostałych, i miał złoty ząb, wstawiony w miejsce jedynki wybitej pałką przez policjanta. Ale nosił okulary dwuogniskowe i miał pociągłe, niemal arystokratyczne rysy, czytał gazety i wiedział różne rzeczy, na przykład co jest stolicą Kenii i kto walczył w wojnie Dwóch Róż. Roy Klowes spojrzał z ukosa na gazetę Doca i powiedział:

– Dajcie mi krzyżówkę o naprawianiu motocykli i zarywaniu cipek. Na przykład „Co robię z twoją mamuszką” na... – policzył – sześć liter. Na takie pytanie mogę odpowiedzieć, Doc.

– Powiedziałbym „brzydzisz”, ale „brzydź” to siedem liter, więc moja odpowiedź brzmi: „mierzisz”.

– A co to niby znaczy? – spytał Roy, drapiąc się po głowie.

– Znaczy, że nie może się powstrzymać, żeby nie splunąć na twój widok.

– No właśnie, mam przez nią taki wkurw, że nie wiem, bo mówiłem jej, żeby połykała, jak ją mierzę.

Ludzie prawie pospadali z krzeseł ze śmiechu. Podobnie rzeli przy sąsiednim stoliku, gdzie Peaches próbował wyjaśnić, dlaczego zdecydował się na podwiązanie nasieniowodów.

– Skusiło mnie, kiedy usłyszałem, że wystarczy zrobić jedną wazektomię na całe życie, czego nie można powiedzieć o aborcji. Na to praktycznie nie ma limitu. Każda głupia cipa jest potencjalną ruiną dla twojego portfela. Zanim się obejrzysz, będziesz musiał bulić za skrobanki i dopiero wtedy pukniesz się w głowę, że lepiej zainwestować w co innego. Poza tym twój związek już nigdy nie będzie taki sam, jak spuścisz juniora w toalecie. Zwyczajnie wszystko się wtedy zmienia, uwierzcie fachowcowi.

Peaches nie musiał się silić na dowcipy. Potrafił wszystkich rozbawić, mówiąc zwyczajnie to, co mu chodziło po głowie.

Teraz Vince minął bandę przybitych chłopaków o zaczerwienionych oczach i usiadł przy barze obok Lemmy'ego.

– I co twoim zdaniem powinniśmy zrobić z tym gównem po powrocie do Vegas? – spytał.

– Zmyć się – odparł Lemmy. – Nikomu nie mówić, dokąd jedziemy. I nie oglądać się za siebie.

Vince wybuchnął śmiechem. Lemmy nie. Podniósł kubek z kawą, lecz w połowie drogi do ust zatrzymał się i zamiast się napić, odstawił ją z powrotem.

– Coś nie gra z kawą? – spytał Vince.

– Nie, nie z kawą.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to o uciekaniu było na serio?

– Nie bylibyśmy jedyni, stary – powiedział Lemmy. – Widziałeś, co Roy zrobił tej dziewczynie w łazience.

– Ona go prawie zastrzeliła – przypomniał mu Vince, zniżając głos, aby nikt ich nie usłyszał.

– Nie miała nawet siedemnastu lat.

Vince nie odpowiedział, ale też nikt tego nie oczekiwał.

– Większość chłopaków nigdy w życiu nie widziała takiej jatk i myślę, że część z nich, w każdym razie ci bystrzejsi, rozpierzchną się na cztery strony świata, gdy tylko nadarzy się okazja. Znajdą sobie w życiu nowy cel. – Vince znowu się roześmiał, lecz Lemmy tylko zerknął na niego z ukosa. – Posłuchaj, kapitanie. Kiedy miałem osiemnaście lat, zabiłem brata, bo prowadziłem samochód zalanym w trupa. Jak się ocknąłem, czułem na sobie jego krew. Szukałem śmierci w marines, żeby za to zapłacić, ale chłopaki w czarnych piżamach nie mogli mi pomóc. Z wojny pamiętam głównie smród własnych stóp, kiedy złapałem owrzodzenie tropikalne. Jakbym nosił w butach latrynę. Siedziałem w więzieniu tak samo jak ty, ale najgorsze nie było to, co robiłem, ani to, co na moich oczach robili inni. Najgorszy był smród bijący od ludzi: spod pach i spod tyłków. Wszystko to było okropne. Ale żadna z tych rzeczy nie umywa się do masakry à la Charlie Manson, od której właśnie uciekamy. Do tej pory nie mogę zapomnieć smrodu, który się tam unosił. Jakbym siedział zamknięty w szafie, w której ktoś się zesrał. Za mało powietrza, a to, które było, nie poprawiało sytuacji. – Przerwał. Odwrócił się na stołku, żeby popatrzeć na Vince’a. – Wiesz, o czym myślę od momentu, gdy stamtąd wyjechaliśmy? Lon Refus wyprowadził się do Denver i otworzył warsztat. Przysłał mi widokówkę z Gór Skalistych. Zastanawiam się, czy nie znalazłby roboty dla takiego starszka jak ja. Chyba mógłbym przywyknąć do zapachu sosen.

Umilkł i przeniósł wzrok na chłopaków siedzących przy stołikach.

– Ci, którzy nie odejdą, będą chcieli odzyskać straconą forszę, w ten czy inny sposób, a żaden z tych sposobów ci się nie spodoba. Bo wdepną jeszcze głębiej w ten gówniany interes z metą. To był tylko początek. Jak myto na rogatce. Za dużo w tym biznesie jest forsy, żeby odpuścili. A każdy, kto sprzedaje, bierze, a ci, co biorą, robią wokół siebie jeden wielki bajzel. Dziewczyna, która strzelała do Roya, była naćpana, a on posiekał ją tą swoją pieprzoną maczetą

na drobne kawałki. Kurwa mać, kto poza ćpunem nosi przy sobie jebaną maczetę?

– Nie napuszczaj mnie na Roya, bo sam mam ochotę wsadzić mu w dupę Little Boya i patrzeć, jak mu się oczy zaświecą – powiedział Vince.

Teraz z kolei Lemmy wybuchnął śmiechem. Zwariowane pomysły na wykorzystanie bomby jądrowej były ulubionym tematem ich żartów.

– No, gadaj, co ci tam chodzi po głowie – ponaglił go Vince. – Rozmyślałeś o tym przez ostatnią godzinę.

– Skąd wiesz?

– Naprawdę sądzisz, że nie wiem, co to znaczy, jak siedzisz wyprostowany na szlifierce?

Lemmy mruknął coś pod nosem.

– Prędzej czy później gliny wleżą na głowę Royowi albo któremuś innemu z tych świrów, i zgarną wszystkich dookoła. Bo Roy i jemu podobni nie mają dość oleju w głowie, żeby się pozbywać gorącego towaru, który zgarniają. Żaden nie ma dość oleju, żeby nie mleć jęzorem, co robił swojej dziewczynie. Szlag. Nawet teraz połowa z nich nosi przy sobie crack. Sam sobie dopowiedz resztę.

Vince podrapał się po brodzie.

– Ciągłe mówisz o dwóch połowach: połowa, która da nogę, i ta, która zostanie. W której połowie jest twoim zdaniem Race?

Lemmy odwrócił głowę i odsłonił ukruszony ząb w bolesnym uśmiechu.

– Naprawdę musisz o to pytać?

CYSTERNA Z NAPISEM MASKAR NA BOKU toczyła się ciężko pod górę, kiedy ją dogonili około trzeciej po południu.

Droga wiła się leniwie zakosami po łagodnym wzniesieniu. Przy tak wielu zakrętach trudno było o dobre miejsce do wyprzedzania. Race znowu się wysforował. Kiedy wyszli z baru, wdepnął gaz i trzymał się na czele Szczepu, czasem tak daleko przed pozo-

stałymi, że Vince całkiem tracił go z oczu. Gdy dogonili ciężarówkę, jego syn siedział facetowi na zderzaku. Cała dziewiątka wlokła się pod górę w gotującym się powietrzu za ciężarówką. Vince'owi zaczęły łzawić oczy.

– Pieprzona beczka! – wrzasnęła, a Lemmy pokiwał głową. Vince'a gniotło w piersi, bolały go płuca od oddychania spalinami wielkiego diesla. Z trudem cokolwiek widział. – Zabieraj z drogi tę swoją ciężką dupę!

To dziwne, że dogonili ciężarówkę tak szybko po wyruszeniu z knajpy. Nie ujechali więcej niż trzydzieści kilometrów, Maskar musiał się po drodze gdzieś zatrzymać. Ale gdzie? W okolicy nic nie było. Może zaparkował w cieniu jakiegoś billboardu, żeby się zdrzemnąć po obiedzie? Albo złapał gumę i musiał zmienić koło. Czy to ważne? Mimo to Vince nie mógł przestać o tym myśleć, nie miał pojęcia, czemu go to męczyło.

Za następnym zakrętem Race pochylił swojego harleya softail deuce i wyjechał na przeciwny pas, po czym przyspieszył z pięćdziesięciu do stu dziesięciu. Maszyna przysiadła na zadzie i wystrzeliła przed siebie. Zjechał z powrotem na prawy pas, gdy tylko wyprzedził ciężarówkę, i w tej samej chwili z przeciwka minął go jasnożółty lexus. Kierowca zatrąbił, lecz ciche biiip-biiip samochodu osobowego utonęło w ogłuszającym ryku klaksonu pneumatycznego cysterny.

Vince zauważył nadjeżdżającego lexusa i przez chwilę był pewien, że zobaczy syna zderzającego się czołowo z samochodem – w jednej chwili Race, w następnej mięso rozsmarowane na asfalcie. Sporo potrwało, zanim jego serce wróciło z gardła na swoje miejsce.

– Pieprzony świr! – wrzasnęła do Lemmy'ego.

– Mówisz o kierowcy beki czy o swoim synu?! – odkrzyknął Lemmy, kiedy w końcu ucichł ryk klaksonu.

– O obydwu!

Lecz kiedy ciężarówka minęła kolejny zakręt, Maskar najwyraźniej ochłonął albo w końcu spojrzął w lusterko i zobaczył resztę Szczepu wlokącą się za nim z rykiem silników. Wystawił rękę za

okno – tę spaloną słońcem, żyłastą dłoń z wielkimi, grubymi palcami – i machnął, żeby przejeżdżali.

W mgnieniu oka Roy i dwaj inni wystrzelili przed siebie i z hukiem silników wyprzedzili pozostałych. Ci pojechali za nimi dwójkami. Reszta przeprawy była już bułką z masłem, skoro kierowca dał im sygnał, że droga wolna, i zwolnił do pięćdziesiątki. Vince i Lemmy zamknęli kolumnę i dołączyli do pozostałych tuż przed następnym zakrętem. Przejeżdżając obok kabiny, Vince rzucił okiem w stronę kierowcy, ale nie zobaczył nic poza tą ciemną ręką wiszącą za oknem. Pięć minut później zostawili cysternę za sobą tak daleko, że nie słyszeli nawet jej silnika.

Przed nimi rozciągała się otwarta pustynia, po prawej – oliwko-wozielone skały porośnięte kaktusami saguaro i pręgowane kredowymi odcieniami żółci i czerwieni. Jechali teraz pod słońce, ścigani własnymi wydłużającymi się cieniami. Przy drodze śmignęły jakieś domy i kilka przyczep – żałosna namiastka miasteczka. Rozciągnęli się na przestrzeni ponad pół kilometra, Vince i Lemmy tym razem prawie na końcu. Niedaleko za zabudowaniami Vince zobaczył swoich ludzi skupionych w grupce na poboczu skrzyżowania z drogą numer 6.

Na zachód za krzyżówką droga, którą dotychczas jechali, została zdarta do gołej ziemi, a pomarańczowy znak informował: **ROBOTY DROGOWE NA ODCINKU 30 KM**. W oddali Vince zobaczył wywrotki i równiarkę. Ludzie pracowali w chmurach czerwonego pyłu, sucha glina unosiła się w powietrzu i płynęła po płaskowyżu.

Nie wiedział o tych robotach drogowych, ponieważ przyjechali inną trasą. To Race wymyślił, żeby wrócić bocznymi drogami, ale Vince się z nim zgodził. Uciekając z miejsca podwójnej zbrodni, rozsądnie było nie rzucać się w oczy. Rzecz jasna Race zaproponował tę trasę z innego powodu.

– Co jest? – spytał Vince, zatrzymując się i wystawiając nogę. Jakby nie wiedział.

Race wskazał ręką drogę numer 6 omijającą roboty drogowe.

– Jedziemy szóstką na południe, potem możemy zjechać na I-40.

– W Show Low – dodał Vince. – Czemu mnie to nie zaskakuje?

Wtedy Roy Klowes wystawił kciuk w stronę wywrotek.

– Wolę tę dziwkę, niż wlec się dziesięć na godzinę przez trzydzieści kilometrów po tym szajsie. Pojedziemy na luzie i może zgarniemy sześćdziesiąt kaffi. Tak myślę.

– I co, bolało? – spytał Lemmy. – Bo podobno za pierwszym razem to boli. Jak łaskę, kiedy traci dziewictwo.

– Pierdol się, Lemmy – warknął Roy.

– Jak będę chciał, żebyś myślał, to ci o tym powiem, Roy – dodał Vince. – Ale nie czekaj z zapartym tchem.

– My pojedziemy do Show Low – oznajmił Race spokojnie i rzeczowo. – Ty nie musisz. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jak pojedziesz dalej.

A więc to był ten moment.

Vince rozejrzał się po otaczających go twarzach. Młodzi patrzyli mu w oczy. Starsi, którzy jeździli z nim ponad dwadzieścia lat, spuścili wzrok.

– Cieszę się, że nikt nie będzie miał do mnie pretensji – powiedział. – Bo już się martwiłem.

Naszło go wspomnienie: jechał z synem pontakiem GTO, była noc, w czasach kiedy starał się iść prostą drogą, pełnić rolę ojca rodziny, dla Mary. Nie mógł sobie przypomnieć szczegółów – skąd ani dokąd jechali – pamiętał tylko tę dziesięcioletnią brudną i nachmurzoną buzię w lusterku wstecznym. Zatrzymali się na hamburgera, ale chłopak nie chciał jeść. Powiedział, że nie jest głodny, i zgodził się tylko na loda na patyku, nadał się jednak, kiedy dostał limonkowego zamiast winogronowego. Nie zjadł go i zostawił na skórzanym siedzeniu, żeby się roztopił. Kiedy odjechali trzydzieści kilometrów od baru, oświadczył, że burczy mu w brzuchu.

Vince spojrzał w lusterko i powiedział:

– Wiesz, to, że jestem twoim ojcem, nie znaczy, że muszę cię lubić.

Chłopak wytrzymał jego spojrzenie i choć broda mu się trzęsła, gdy próbował powstrzymać się od płaczu, nie odwrócił wzroku, a jego jasne oczy przepełniała nienawiść.

Czemu to powiedział? Vince'owi przyszło do głowy, że gdyby umiał inaczej rozmawiać z synem, nie byłoby Faludży ani upokarzającego wydalenia z wojska za porzucenie oddziału, za ucieczkę wozem opancerzonym podczas ostrzału artyleryjskiego; nie byłoby Deana Clarke'a, laboratorium metamfetaminy, a chłopak nie czułby potrzeby, żeby być zawsze na przedzie, żeby pruć na zajebistej szlifierce sto dwadzieścia na godzinę, kiedy pozostali jechali dziewięćdziesiątką. To jego Race próbował za sobą zostawić. Przez całe życie.

Vince zmrużył oczy, spojrzał w kierunku, z którego przyjechali, i znowu zobaczył tę pieprzoną ciężarówkę. Zobaczył ją w falach gorącego rozedrganego powietrza nad drogą; z wielkimi kominami i srebrną kratownicą wydawała się na wpół mirażem. MASKAR. Albo MASAKRA dla wielbicieli Freuda. Vince zmarszczył czoło, osiemnastokołowiec znowu przyciągnął jego uwagę. Znow zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że dogonili i wyprzedzili faceta, który miał nad nimi godzinną przewagę.

– Może warto spróbować, szefie – odezwał się Doc, prawie nieśmiało i przepraszająco. – Tu będziemy się przez trzydzieści kilometrów kąpać w kurzu.

– Och, broń Boże, nie chcę, żebyście się ubrudzili – mruknął Vince.

Odepchnął się nogą, dodał gazu i skręcił w szóstkę, prowadząc swój Szczep w kierunku Show Low. Z tyłu słyszał ciężarówkę, w której kierowca przerzucał biegi, ryk rosnących obrotów silnika, zawodzącego, jakby ciężka cysterna pędziła po pustyni.

KRAJOBRAZ SKŁADAŁ SIĘ Z ŻÓŁTO-CZERWONYCH skał, wąska droga bez pobocza była pusta. Wjechali na wzniesienie, a potem łagodnym lu-

kiem w dół na dno kanionu. Po lewej stronie ciągnęła się poobijana barierka, po prawej – niemal pionowa ściana skalna.

Przez jakiś czas Vince jechał na przedzie razem z Lemmym, lecz po jakimś czasie jego towarzysz został w tyle, a zastąpił go Race. Ojciec i syn jechali obok siebie, wiatr rozwiewał z czoła gwiazdorskie czarne włosy chłopaka. Słońce świeciło po zachodniej stronie nieba i płonęło w lustrzankach Race'a.

Przez chwilę Vince obserwował go kątem oka. Był szczupły i żyłasty i nawet sposób, w jaki siedział na motorze, wydawał się aktem agresji, to, jak wślizgiwał się w zakręty pochylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni do nawierzchni. Vince zazdrościł mu tej naturalnej atletycznej gracji, mimo to z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Race sprawiał wrażenie, jakby jazda na motocyklu była dla niego ciężką pracą, gdy tymczasem Vince uwielbiał ją właśnie za to, że była jej całkowitym zaprzeczeniem. Zastanawiał się, czy Race w ogóle kiedykolwiek czuł się ze sobą swobodnie.

Usłyszał za sobą chrzęszczący grzmot potężnego silnika, a kiedy bez pośpiechu obejrzał się przez ramię, ujrzał ciężarówkę pędzącą prosto na nich. Niczym lew wyskakujący z ukrycia nad wodopojem, gdzie leniwie kręciło się stado gazeli. Szczep jak zawsze jechał małymi grupkami, siedemdziesiątką pokonywał kolejne zakręty, a tymczasem cysterna gnała na nich blisko setką. Vince zdążył pomyśleć „nie zwalnia” i wtedy MASKAR z ogłuszającym szczękiem stali zgniatającej stal zmiotł z ziemi trzy motocykle jadące na samym końcu.

Maszyny wyleciały w powietrze. Jednym harleyem cisnęło o skałę, siedzący na nim John Kidder, znany również jako Dzieciak, katapultował się w powietrze, odbił od skał i zniknął pod opasany-
mi stałą oponami MASKARA. Kolejnego motocyklistę (Doc? nie, tylko nie Doc!) cysterna zepchnęła na lewy pas. Vince'owi mignęła przed oczami pobladła, osłupiała twarz Doca, otwarte usta w kształcie litery „O”, migotanie złotego zęba, z którego był taki dumny. Zarzuciło nim, stracił kontrolę nad maszyną, uderzył w barierkę, przeleciał nad kierownicą i dalej w przepaść. Jego harley przeko-

ziołkował za nim, kufer się otworzył, wyrzucił z siebie bieliznę. Osiemnastokołowiec przeżuwał przewrócone motocykle. Srebrna kratownica zdawała się warczeć i obnażać kły.

Vince i Race ramię w ramię minęli następny zakręt. Vince'owi krew napłynęła do serca i przez chwilę czuł niebezpieczne ukłucie w klatce piersiowej. Walczył o oddech. Gdy tylko krwawa jątka zniknęła mu z oczu, trudno było uwierzyć, że naprawdę się zdarzyła. Trudno uwierzyć, że pozostałe motocykle nie uciekły spod kół rozpędzonej cysterny. Lecz gdy tylko wyszedł z zakrętu, na drodze przed nimi wylądował Doc, a na nim z dudniącym hukiem jego motor. Chwilę później z góry spłynęły ubrania Doca. Na końcu niczym spadochron opadła dżinsowa kamizelka. Na zarysie granic Wietnamu widniał wyhaftowany złotymi nićmi napis: KIEDY UMŘĘ, PÓJDĘ DO NIEBA, BO W PIEKLE JUŻ BYŁEM, ŻELAZNY TRÓJKĄT 1968. Ubrania, właściciel ubrań oraz motocykl właściciela spadły z wysokości dwustu metrów na szosę.

Vince szarpnął kierownicę i szorując piętą o połatany asfalt, skrzył tuż przed wrakiem. Doc Regis, z którym przyjaźnił się od dwudziestu lat, na jego oczach zamienił się w trzyliterowe słowo oznaczające „mokrą plamę”. Maż. Leżał twarzą do ziemi, lecz jego zęby, a wśród nich jeden złoty, błyszczały w kałuży krwi obok lewego ucha. Piszczelki wyszły tylną częścią ud – lśniące, czerwone kikuty sterczały z rozdartych dżinsów. Wszystko to Vince widział tylko przez ułamek sekundy, mimo to natychmiast zapragnął to odwidzieć. Poczuł w gardle wzbierający odruch wymiotny i piekący smak żółci w czasie przełykania.

Race z drugiej strony okrążył ruinę, która była kiedyś Dokiem i jego motocyklem. Kątem oka spozjrzał na Vince'a, a choć ten nie mógł zobaczyć jego oczu za lustrzanymi okularami, widział, że twarz mu stężała w wyrazie małego dziecka, które wstało w nocy z łóżka i zobaczyło rodziców oglądających przerażający horror w telewizji.

Obejrzał się ponownie i stwierdził, że reszta Szczepu wyłoniła się zza zakrętu. Zostało siedmiu. Za nimi ryczący osiemnastokołowiec pokonywał zakręt z taką szybkością, że długa cysterna

przechyliła się niebezpiecznie, a spod opon poszedł dym. Po chwili wyrównał i popędził prosto na Ellisa Harbisona. Ellis wyleciał w powietrze, jakby wyrzucony z trampoliny. Wyglądał prawie śmiesznie, kiedy obracał ramionami jak wiatraczek na tle błękitnego nieba, przynajmniej dopóki nie spadł prosto pod koła ciężarówki. Jego maszyna przekoziółkowała kilka razy, po czym zmiotł ją z drogi pędzący osiemnastokołowiec.

Vince zdążył uchwycić wzrokiem Deana Carewa, kiedy dogoniła go cysterna. Najechała na tylne koło motoru, a Dean runął na drogę i poturlał się po szosie z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Asfalt zdzierał z niego skórę, a głowa zostawiała na ciemnej nawierzchni serię czerwonych kropek.

Chwilę później ciężarówka pożarła motocykl Deana. Rozległ się łoskot, szczęk i chrobot i pod zawieszeniem ciężarówki otworzył się spadochron ognia. W ten sposób eksplodował lowrider, którego Dean nie skończył jeszcze spłacać. Gorąca fala uderzeniowa o mały włos nie podniosła Vince'a z siedzenia. Myślał, że cały tir wyleci w powietrze, zmieciony z drogi przez słup ognia eksplodującego baku, ale nie, maszyna wjechała w płomienie, dudniąc i wydmuchując podwoziem kłęby czarnego dymu, lecz poza osmalonymi smugami na bokach nie doznała najmniejszego uszczerbku i coraz bardziej przyspieszała. Vince wiedział, że samochody Macka są szybkie, a nowe mają pod maską prawdziwą fabrykę o mocy czterystu osiemdziesięciu koni mechanicznych, ale to coś...

Czyżby miał kompresor? Czy można doładować kompresorem pieprzony ciągnik siodłowy?

Jechał za szybko, czuł, że przednie koło zaczyna tańczyć. Zbliżali się do końca zjazdu, dalej droga biegła płasko. Race pędził trochę przed nim. W lusterku Vince zobaczył tych, którzy jeszcze przeżyli: Lemmy'ego, Peachesa, Roya. A ciężarówka znowu się zbliżała.

Na wzniesieniu uciekliby jej w mgnieniu oka, ale przed nimi nie było żadnych wzniesień! Przez najbliższe trzydzieści kilometrów, jeśli dobrze pamiętał. Następny padnie Peaches. Peaches, który był najzabawniejszy, kiedy próbował być poważny. Właśnie rzu-

cił okiem w lusterko i Vince wiedział, co w nim zobaczył: zbliżającą się chromowaną ścianę.

Wymyśl coś, do kurwy nędzy. Wyciągnij ich z tego.

Tylko on może to zrobić. Race trzymał się dobrze, ale jechał na autopilocie – z zastygłą twarzą, wpatrzony przed siebie, jakby zwicznął sobie kark i siedział w kołnierzu. Wtedy uderzyła Vince’a myśl – okropna, lecz dziwnie pewna – że tak właśnie Race wyglądał tamtego dnia w Faludży, kiedy odjeżdżał humvee i zostawiał swój oddział, podczas gdy dookoła waliły moździerze.

Peaches docisnął gaz i zyskał odrobinę przewagi nad mackiem. Ciężarówka zatrąbiła jakby z frustracji. Albo ze śmiechu. Tak czy owak, stary Peaches zdołał tylko trochę odroczyć egzekucję. Vince usłyszał, jak kierowca ciężarówki – może Maskar, a może sam diabeł z piekła – zmienia bieg. Chryste, ile on może mieć tych przekładni? Sto? Zaczął zmniejszać dystans. Vince nie wierzył, że Peaches da radę jeszcze wystrzelić do przodu. Jego stary dolnozaworowy BSA dał już z siebie wszystko, co mógł. Albo dorwie go ciężarówka, albo motocykl wywali uszczelkę pod głowicą... a wtedy też dorwie go ciężarówka.

BIP-BIP! BIP-BIP! BIP-BIP!

Jak gwóźdź do trumny. Ale to podsunęło Vince’owi pomysł. Wszystko zależało od tego, gdzie byli. Znał tę drogę. Znał tu kiedyś każdy kamień, ale nie jeździł tędy od lat i nie był pewny, zwłaszcza w takim kotle, czy rzeczywiście są tu, gdzie mu się zdawało.

Roy rzucił coś przez ramię, coś, co zamigotało w słońcu, uderzyło w brudną szybę Maskara i odleciało. Pieprzona maczeta. Ciężarówka dalej ryczała i wydmuchiwała podwójne strumienie czarnego dymu, kierowca znowu zatrąbił:

BIP-BIP! BIP! BIP-BIP-BIP!

...krótkimi eksplozjami, które dziwnie przypominały alfabet Morse’a.

Jeśli tylko... Boże, jeśli tylko...

Tak! Przed nimi wyłonił się znak, tak brudny, że ledwo dało się go przeczytać: CUMBA 3.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).